

Aby tylko nie pójść do wojska

Niesłychane pomysły poborowych prowadzą często do kalectwa, a jeszcze częściej do kryminału

Życie ludzkie to szereg niesłychanie skomplikowanych interesów i potrzeb. To przedziwny spłot wydarzeń.

W życiu mężczyzny niepoślednią rolę odgrywa odbycie powinności wojskowej. Niejednemu uśmiecha się noszenie munduru i dlatego idzie chętnie do wojska. Inni spełniają tę powinność w doskonałym zrozumieniu obowiązku obywatelskiego. Jeszcze inni...

Jest pewna kategoria ludzi, którzy spełnianie normalnych obowiązków, jakie nakłada na nich państwo, uważają za uwłaczające swej godności, za krzywdę jaką się im wyrządza. Do tej kategorii ludzi należą, bezwarunkowo, „migający się” od służby wojskowej; o nich właśnie chcemy powiedzieć.

Podczas wędrówek po Komisjach przeglądowo - lekarskich, w czasie poboru udało nam się zebrać garstkę ciekawych spostrzeżeń, którymi dzielimy się z czytelnikami:

Duża sala, przy długim stole zasiadli oficerowie i pisarze, obok lekarze wojskowi i cywilni. Rozpoczyna się przegląd.

Przed oczyma patrzących przewija się długi szereg nagich postaci męskich, lepiej lub gorzej zbudowanych. Lekarze pilnie badają stan zdrowotny materiału ludzkiego.

Staje przed nami, doskonale, zdrowo wyglądający młody człowiek, z okropną raną na nodze.

— Co panu jest?
— Nie wiem, bo już tak od roku krwawi.

— A czy pan leczy chorą nogę?

Milczenie. Podejrzane. Ekspertyza lekarska.

W szpitalu okazuje się, że młody człowiek, rozciął sobie nogę gilette'ką i zapakował do rany brudny włos. Oczywiście rana ropieje. Młodzieniec wędruje do więzienia.

Następny. Powieki pokryte ropą. Wygląda co najmniej na „egipskie zapalenie oczu”.

Sprytny lekarz przeciera jego gomościowi oczy watą i... Okazuje się, że ropa była zapożyczona od chorego, a młodzie-

niec zaryzykował utratę wzroku, byle tylko nie pójść do wojska.

Inny znów pokazuje straszliwe guzy na całym ciele. Gruźlica? Nie to tylko gorąca parafina wstrzyknięta pod skórę tworzy gruczolki tak strasznie wyglądające.

Głusi, ślepi, kulawi, po ekspertyzie lekarskiej okazują się zupełnie zdrowymi.

Przed komisją staje idiota. Nieartykułowane dźwięki wydobywa z gardła, porozumieć się z nim nie można. Ekspertyza potwierdza chorobę. Sprawa jednak wydaje się podejrzana. Policja puszczając chło-

paka do domu rozłącza nad nim niewidzialną opiekę. Co się okazuje?

Podli rodzice z kalectwa syna zrobili sobie proceder. Wynajmują go aby stał do wojska za zdrowych. Chłopak w ten sposób melduje się w różnych komisjach kilkanaście razy. Sprawa znajduje epilog w kryminale.

Wstręt i ohyda. Wszakże spełnienie obowiązku obrony granic Ojczyzny powinno napawać dumą tych co mu podlegają, a nie strachem i niechęcią.

Na szczęście medycynę nie tak łatwo oszukać jakby się zdawało.

70-lecie oświetlenia gazowego w Warszawie

W końcu r. 1856, a więc siedemdziesiąt lat temu na drodze od gazowni t. j. ul. Książęcej od rogu Rozbrat, Nowym Świecie, Krakowskie Przedmieście z Placem Zamkowym włącznie — zapłonęły pierwsze latarnie gazowe, więc wtedy, główna arteria miasta otrzymała wspaniałe, jak na owe czasy, nowoczesne oświetlenie 82 latarni ulicznych. W ciągu następnych dwóch lat oświetlenie gazowe wzrosło do 860 latarni ulicznych, a w r. 1866 doprowadzono ilość latarni gazowych do 1073 sztuk.

Stopniowe uświadamianie mieszkańców, że gaz w użyciu prywatnym daje nieocenione usługi — sprawiło, że już w r. 1867 zbudowano drugą magistralę

przez ul. Szpitalną, pl. Dzieciątka Jezus (Warecki — obecnie Napoleona), Mazowiecką, plac Saski i Wierzbową.

W dn. 22 listopada tegoż roku o g. 6 wieczorem w obecności ówczesnego burmistrza hr. Berga, otworzony był przewód do gazu, prowadzący przez most Kierbedzia.

Miarę rozwoju sieci i konsumpcji daje r. 1875, w którym przy stosunkowo niedużym wzroście ludności (z 250 tysięcy w r. 1866 do blisko 300 tysięcy w r. 1875) użycie gazu wzrosło o 2,5 razy t. j. (wynosiło ponad 5 milionów mtr. sześciennych).

W r. 1875 przybyło Warszawie 3 klm. sieci, ułożonej pod ulicami: Książęcą (zmienioną), Bracką, Zgoda, Sienna, Wielka, Bagno, Graniczną, pl. Żelaznej Bramy, Przechodnią.

Rok 1876 zamknięty został 116 klm. sieci przy 2.100 mtr. sześciu. objętości.

W r. 1883 ułożono przewody gazowe na ul. Grzybowskiej do Wroniej, a kierunek ten świadczył o zamiarach zbudowania gazowni na Woli, która istotnie zaczęto budować w r. 1886.

W r. 1887 przebudowano przewody 3 klm. długości przez ulice: Dworską, Karolkową, Wojską, Chłodną, — które w r. 1890 połączono przez ul. Elektoralną, Plac Bankowy i Plac Teatralny z główną linią sieci na Krakowskie Przedmieście.

Równocześnie gaz zaczyna płonąć na ul. Okopowej, Towarowej i Raszyńskiej, a w r. 1896 otrzymuje go ul. Koszykowa od Raszyńskiej do Marszałkowskiej.

W r. 1906 oświetlenie gazowe dosięgło maksymalnej ilości płomieni — 9172.

Ustawienie przesłó 100 lamp elektrycznych poderwało egzystencję gazu, zaczęła się walka. Wojna jeszcze bardziej zaszkodziła gazowi światłemu. Dopiero r. 1922 pozwalała na wznowienie w 175 proc. przedwojennego oświetlenia gazowego. Lata 1924 — 1925 notują przyrost sieci o 35 klm. przeważnie w nowych dzielnicach.

W 70-ą swoją rocznicę w Warszawie gaz zaczyna odbierać utracone ongi pozycje.

Gabinetu Rada...



Gabinetu Rada ciężko rozmyślała, Jakich użyć figlów, Żeby Izba stała.



Aż gdy na ów fortel kraj przydługą czeka, Jeden krzyknął gromko: „Już ją mam! — Eureka!”



Wnet padły rozkazy, by nie myśleć wiele Kłajstrem pomalować sejmowe fotele.



A kiedy nareszcie Izba się zebrała, Nie chcąc walać portek — jak jeden mąż — stała.

chmanem. Raz tylko drgnęła, odrzucając krucyfiks, który jej podała ręka kapłana. Stos podpalono. Trzask palących się pni, gryzący dym, snop żarzących iskier, ostatni długi bolesny krzyk... Straszny krzyk...

Żył płomieniem, w płomieniach skonała.

Avory zgodził się chętnie na skopjowanie obrazu przez młodego malarza. Obraz przeniesiono do odległej oficyny, gdzie Savill urządził sobie prowizoryczną pracownię. Avory odwiedzał go tam często.

— Panie Avory, — powiedział kiedyś młody malarz. — Chciałbym wiedzieć coś więcej o tej kobiecie. Czy Durocq był jej kochankiem?

— Nie, kochankiem jej był hrabia Bernard de Lafontaine, wielki magnat normandzki, który...

Avory urwał w połowie zdania. W oczach Savilla pojawiło się dziwne podniecenie.

— Pan już zna tę historję?

— Nie, ale, wie pan, to szczególnie... De Lafontaine, to panińskie nazwisko mojej matki; jak panu wiadomo była francuzką...

— Kobieta z portretu została

spalona na stosie za uprawianie czarów; niech się pan jej strzeże, może pana opętać!

Paweł uśmiechnął się:

— Fo trzystu latach, to byłoby niemożliwe!

— Znam pewną teorię, — rzekł Avary, — która głosi, że każdy człowiek musi pozostawić po sobie jakiś znak na ziemi. Znaki te zacierają się z czasem jak fotografie; jedne szybciej, inne wolniej. Ta kobieta ma niesłychanie silną osobowość. Skąd pan może wiedzieć, że jej wpływy zginęły? Radzę się wystrzeżać, — dodał jeszcze.

Avory wyjechał za granicę. Paweł pozostał sam w olbrzymim pałacu. Nie spostrzegł się nawet, gdy padł ofiarą niezwykłego, trującego uroku portretu. Chwilami popadał w dziwny stan ekstazy, wydawało mu się wówczas, że jest Durocq'iem, że zdobył miłość tej, która była natchnieniem wspaniałego dzieła. Pytał nieraz sam siebie, czy może wynikać co złego z tej miłości artysty do portretu?

Wtedy Diana weszła w jego życie.

Pewnego wieczoru Jack Liddell, kolega Savilla, wpadł do jego pracowni.

— Co się z tobą dzieje, — zawołał, — chodzą wieści, że umarłeś, że siedzisz w więzieniu, że zwiąłeś zagranicę. Dziś dopiero stary Garnett powiedział mi całą prawdę. Czy cię adoptował ten milioner Avory?

— Jeszcze nie. Robię kopję.

— Podobno zwarjowałeś na tym punkcie! Można zobaczyć to dzieło?

I, nie czekając odpowiedzi, zbliżył się do stalugu.

— Wspaniałe, — rzekł, — ale jakieś, do djaska, skłonił Dianę, żeby ci pozowała?

— Jaką Dianę?

— Widać, że jesteś teraz anachoretą. Diana to nowa modelka. Ceni się i nie pozuje takimi pacykarzom, jak my. I właśnie zdziwiłem się, w jaki sposób ty... Zresztą poznasz ją u mnie dziś wieczorem. Mam nadzieję, że przyjdiesz. Do widzenia, stary!

Paweł pozostał sam z sceptycznym uśmiechem na twarzy. Czyż natura mogła stworzyć drugą taką kobietę, jaką była Marie Derys?

I poznał Dianę. Jack Liddell nie przesadził. Były to istotnie te same fiołkowe oczy, ognistozłote włosy, usta wyniosłe i zmysłowe. Była to ta sama czarująca

kuścielka tylko stokroć bardziej pełna, bo drgająca życiem i pełna zmysłowego ognia. Przychodziła często do pracowni Savilla. Podobał jej się, bo był młody, inny niż wszyscy, szalenie zakochany, zabawny tem, że tak mało od niej wymagał. Długie godziny spędzała u niego, paląc jeden papieros za drugim i patrząc w milczeniu, jak młody malarz już nie kopjował z martwego obrazu, a stwarzał dzieło wspaniałe i oryginalne.

Diana była uosobieniem kaprysu. Trudno było powiedzieć, czy kochała więcej mężczyzn czy rozrywki. Lubiła gwar dancinistów, zawrotne nastroje gabinetów. Savill był do szaleństwa zazdrosny. O wszystko. O jej życie, taniec i kochanków. Nie nawidził szczególnie jednego, bogatego Lawtona, który lekcewał opinię, kobiety i pieniądze.

Pewnego razu Diana nie przyszła o umówionej godzinie. Mieli spędzić wieczór razem w najmodniejszej restauracji: „Wistariji”. Dziwne przeczucie owładnęło Savillem. Miotany tysiącem złowroć przypuszczeń i wątpliwość pobiegł do Wistarii. Portier oznajmił mu, że Diana była z Lawtonem na kolacji i mieli udać się do teatru. Paweł

spojrzał na zegarek: dwunasta. Nawpół prztomny, rozgorączkowany wsiadł w auto i kazał się wieźć przed pałac Lawtona.

Parterowe okna pałacu były rzęsiście oświetlone. Savill wspiął się jak złodziej po gzymsie i zajrzał do środka. Zbladł.

Przycmione światło pracowni. Głowa tak holi, tak boli... Zapomnieć o tym bólu, zapomnieć o wszystkim. Wina! Jedna szklanka, druga... Jest lepiej. Oczy padają na portret; znowu ona! Zniszczyć ją, spalić, zniszczyć jej siłę szatańską! Błada twarz uśmiechała się do niego jak Diana, zupełnie jak Diana... Chwycił lampę... Trzeba ją nieść ostrożnie. Za dużo pił. Głowa boli, pęka niemal!... Nie nawidził tego obrazu, przeklinał kobietę.

Owładnęła nim dzika żądza niszczyciela. Szaleńczym ruchem cisnął zapaloną lampę w obraz. Stalugi runęły, coś uderzyło go w głowę, upadł.

Płonący stos, ogień, usta wykrzywione przekleństwem. głębokie, nienawistne oczy... Potem mrok, otchłań... Odlamki rozpalonego szkła, struga nafty wije się po podłodze. Złowroczny płomyk chwytą brzeg firanki i biegnie ku górze...

A. J.